Nr. 3. Warszawa, 1 lutego 1914 r. Rok II.

założony przez Bronisława Bouffałła.

REDAKTOR I WYDAWCA LUDOMIŁ CZERNIEWSKI.

WYCHODZI 1 I 15 KAŻDEGO MIESIĄCA.

Zwracamy uwagę Szanownych Czytelników na zmianę adresu

Redakcyi i Administracyi:

Księgarnia J. Lisowskiej,

Al. Jerozolimskie 29, tel. 145-40.

Cena zeszytu 30 kop.

archiwum harcerskie.pl

Szósty rok wydawnictwa. — Gazeta bezpartyjna.

„DZIEŃ"

Pod redakcyą STEFANA GORSKIEGO.

„DZIEŃ" reprezentuje kierunek demokratyczny i stoi na gruncie wyraźnie narodowym. Broni rodzinę, ziemię, handel i przemysł polski. Zamieszcza artykuły i feljetony głośnych autorów polskich. Posiada pierwszorzędną obsługę informacyjną. Szerokie uwzględnienie interesów prowincyi, kresów i kolonii polskich. Liczne korespondencye z kraju i zagranicy.

Pragnąc upamiętnić pierwsze pięciolecie wydawnictwa „DZIEŃ" na rok 1914 ofiarowuje swym prenumeratorom cenne

PREMIUM

5 CZĘŚCI ŚWIATA

ATLAS GEOGRAFICZNY „DNIA"

składający się z 21 pięknie na welinie w kolorach wykonanych map i tablicy, godeł handlowych i wojennych państw wszechświatowych.

Specyalnie dla „Dnia" wykonany Atlas zawiera nowe mapy Europy i półwyspu bałkańskiego, opracowane zgodnie z uchwałami pokojowemi w Konstantynopolu, Bukareszcie i Londynie. Jest to pierwszy polski Atlas z nowemi granicami państw, wykreślonemi po ostatnich wojnach bałkańskich.

Atlas, który bezpłatnie otrzymają wszyscy prenumeratorzy „DNIA" przedstawia wartość kilku rubli.

Prenumeratorzy, opłacający „DZIEŃ" z góry na rok 1914 otrzymają Atlas **natychmiast** przy wniesieniu przedpłaty. Prenumeratorzy kwartalni i półroczni otrzymają bezpłatnie Atlas Europy przy uiszczaniu ostatniej raty prenumeracyjnej w roku 1914.

Prenumeratorzy opłacający i odbierający Atlas w Administracyi „DNIA" żadnych dodatkowych kosztów nie ponoszą.

Prenumeratorzy pragnący Atlas otrzymać pocztą na koszty przesyłki i opakowania dołączają 50 kop. Kto chce otrzymać Atlas pięknie oprawny w płótno angielskie dopłaca 1 rb.

Adres wydawnictwa: WARSZAWA, WARECKA Nr. 15.

WARUNKI PRENUMERATY: **W Warszawie:** Rocznie rb. 6.60, półrocznie rb. 3,30, kwartalnie rb. 1.65, miesięcznie kop. 55. Za odnoszenie do domu kop. 5 miesięcznie.

Na prowincyi i w Cesarstwie: Rocznie rb. 9, półrocznie rb. 4.50, kwartalnie rb. 2.25, miesięcznie k. 75.

Zagranicą: Rocznie rb. 14, półrocznie rb. 7, kwartalnie rb. 3.50, miesięcznie rb. 1.20.

archiwum harcerskie.pl

Nr. 3. Warszawa, 1 lutego 1914 r. Rok II.

SKAUT

CZUJ DUCH!

DWUTYGODNIK SPORTOWY ILUSTROWANY DLA MŁODZIEŻY POLSKIEJ

założony przez Bronisława Bouffałła.

REDAKTOR I WYDAWCA LUDOMIŁ CZERNIEWSKI.

WYCHODZI 1 I 15 KAŻDEGO MIESIĄCA.

Nowych ludzi plemię.

„Musimy się w ciężkich walkach ścierać. Musimy przedzierać się przez gąszcze dzikie i wrogie nam, które zewsząd zastępują drogę i murem zwartym przeciwko wysiłkom naszym stają, w których czycha zwierz dziki i dzikszy jeszcze człowiek. Często w wysiłkach naszych chwiejemy się, w mozole naszym z sił opadamy. Ale idziemy, ciągle idziemy naprzód!"

Tak mówił traper, zdobywca Wielkiego Zachodu, syn wielkiej i dzielnej rasy Brytańskiej.

Człowiek ten nowym był, nowym na tej ziemi, nowym wobec jej nieogarnionych przestrzeni i dziewiczych nieprzebytych puszcz. Nowym też był człowiekiem wobec swej macierzy, macierzy wyspiarskiej, którą pozostawił za morzem, wobec starej Anglii.

A jednak choć ląd ten widział go wyłaniającego się z fal Atlantyku, choć od morza tego przywędrował w głąb puszcz Kanady, nie z niego tylko się zrodził, nie cudem z tych wodnych wyłonił się przestrzeni, przeszłość bowiem za nim dawna i on się ciągle rodził z odwiecznych walk w swojej Starej Anglii. Dawnym jest jej synem, z pokolenia w pokolenie w nieskończonym łańcuchu wielkich ścierań się dziejowych wyrabiało się i mężniało ciało jego i duch jego. Pod-

stawy jego charakteru, podstawy jego dzielności, jego uzdolnienie zdobywcze zostały wyniesione z zamorskiej ojczyzny i były wynikiem dorobku całych pokoleń. Tak, ci nowi ludzie, ta nowa rasa już miała w zawiązku odpowiednie cnoty, przekazane im przez ojców i dziadów ich przez matki; cnoty, które dały im uzdolnienie do nowej pracy, do odegrania tej nowej roli wszechświatowej w jakiej występują w czasach obecnych.

Jeśli mamy z siebie tworzyć „nowych ludzi plemię", a tworzyć ich trzeba zawsze i w tem tworzeniu wysiłki czynić stałe z każdem pokoleniem nadchodzącem, to musimy pamiętać, że to co przynosimy ze sobą, począwszy od uzdolnień naszych, a skończywszy na naszych aspiracyach i ideałach, to jest wynikiem pracy całych pokoleń poprzednich, wynikiem mozołów i zmagań się ojców naszych, wypadkową dziejów narodu razem z jego wadami i zaletami. To wszystko w zawiązku zostało złożone w duszach naszych. Na tym fundamencie mamy budować w łączności z pokoleniami minionemi i mijającem, w dziejowej łączności z przeszłością naszą.

Życie się nie rozpoczyna na nowo i z niczego w żadnem pokoleniu i rozpocząć się nie może. Mamy na sobie zarówno blask cnót jak i brzemię wad i błędów przeszłości i wymazać ich z przeszłości dziedzictwa naszego nie możemy; ale możemy je zmienić, możemy wykorzeniać wady, lub przemieniać je w cnoty, a cnoty same rozszerzać i wzmagać. I tylko na tej wiekowej, a ciągle żywej podstawie dziedzictwa naddziadów naszych możemy budować, tworzyć nowe życie, podnosząc cnoty, które nam dano, wykorzeniając wady, któremi przeszłość nas obciążyła. Odpowiadamy za przeszłość, ale i odpowiedzialni jesteśmy przed przyszłością: tylko to stanie się dorobkiem i wartością naszą, co na podstawie dziedzictwa naszego zdobędziemy. I tak z odwiecznego pnia przeszłości narodu nowych ludzi plemię tworzyć będziemy.

I przed nami jak przed owymi traperami Ameryki Północnej leżą gąszcze dzikie i wrogie nam, gąszcze wad, ułomności i złych nałogów naszych, które podrywały i gubiły życie narodu, i życie nam również stawia gąszcze dzikie i wrogie, pełne zwierza czychającego na przyszłość naszą. Musimy się uczyć żyć i walczyć, aby dać przyszłość narodowi.

Z tej myśli i z tego pragnienia poczęte czyny, a płynące z fundamentów przeszłości tworzą nowych ludzi plemię.

Nowi muszą być ludzie, bo życie narodu musi być ciągle odnawiane, żeby zdobywać siłę i zdrowie, żeby zapewniać przyszłość sobie i pokoleniom przyszłym, żeby dać im ojczyznę silną, wielką i piękną. Czas wartkim pędzący prądem wokoło coraz to nowe i nowe przesuwa obrazy, coraz nowe stwarza warunki i coraz nowe stawia żądania. Te nowe warunki i żądania coraz trudniejsze i bardziej skomplikowane, coraz zawilsze w tropach swoich i swoich zasadzkach, coraz to nowych wymagają cnót, coraz to nowych uzdolnień, coraz większej czujności. A wymagania te są bezwzględne. Kładą one na szalę wag swoich śmierć i życie. Innego wyjścia nie dają. Albo się staczać w przepaść rozkładu, mroki niebytu, albo się dźwigać ku wyżynom na jaśnię dnia, w górę, ku słońcu.

Pod groźbą więc gnuśnego zatracenia, muszą się zjawiać coraz to nowe szeregi, coraz liczniejsze zastępy coraz to nowych i coraz dzielniejszych tropicieli, pionierów, wywiadowców, obrońców i bojowników.

Każda wada dostrzeżona, każdy błąd na gorącym uczynku przyłapany, to nowy trop nieprzyjaciela. Bądźmy pewni, że każde pole zaniedbane, to zasadzka wroga. Dla tego idźmy czujnie, wypatrując placówki opuszczone, szczyty niezdobyte; wzmacniajmy czaty zaniedbane. Tak idzie nowych ludzi plemię.

Są dwa zadania: wewnątrz—tworzenie siebie, kształcenie i hartowanie w sobie tych nowych ludzi, i na zewnątrz — działanie w społeczeństwie, dla niego i dla jego przyszłości.

Pierwsze—początek wszelkiej pracy, drugie—istota jej najpełniejsza i szczyt. Bez pierwszej nie jest możliwą druga. Im lepiej, im dokładniej wykonaną jest pierwsza, tem lepszą i owocniejszą będzie druga. Tylko długie i staranne ćwiczenie spostrzegawczości, czujności i sprawności skautowej, uczyni wywiadowcę uzdolnionym do dokładnego i owocnego spełniania obowiązków, do których jest powołany. To jest oczywiste i jasne jak dzień.

Niestety jednak, u nas najczęściej ta zasadnicza prawda jest pomijaną. Zanim zdobyliśmy sprawność wewnętrzną, zanim stworzyliśmy nowego człowieka w sobie, zanim więc dokonaliśmy pierwszej pracy, pędzimy do drugiej i tam w niej chcemy przerabiać społeczeństwo, chcemy zbawiać naród, od nowa rozpoczynać dzieje jego, jakby się miał wyłonić z nieznanego morza cudem, cudem od dnia dzisiejszego bez żadnej przeszłości. Przeszłości tej nie widzimy bo jej, w sobie samych, nie odbywszy pracy wewnętrznej i nie czujemy.

Tak aż nazbyt często, nie obzierając się, na ślepo pędzimy do „wielkich dzieł", do przetwarzania innych. Ale nie praca to, i takie porywy funta kłaków nie są warte. Owoc lenistwa i złudy rozsypie się w rękach naszych. To jakbyś poszedł zdobywać skryte szańce nieprzyjaciół, przezornych wrogów tropić ślady, nie zdobywszy cnót rycerskich i wywiadowczych. Przegrana pewna, a przegrana tem straszniejsza, że nie tylko sam wpadniesz w zasadzkę, ale porażone będą pułki, które ciągną za tobą.

Tak więc nie rwać się na oślep do pracy na zewnątrz, zanim się nie dokona jej na wewnątrz. Wpierw musimy w sobie i z siebie stworzyć nowych ludzi. A potem urobieni i wykształceni, czujni i pełni ducha skautowego, zasilim zastępy pracowników społeczeństwa. Wtedy staniemy, jak ród hartownych traperów, nowych plemię ludzi.

Budując przezornie i wytrwale, z czujnością ducha, budując na fundamentach przeszłości, będziemy wznosić wielką przyszłość Narodu.

Iść—ciągle iść naprzód!

archiwum harcerskie.pl

Wspomnienia zlotu w Birmingham

Nasze drużyny.

Wskazówki dla Skautów.

X.

Jeszcze o raportach.

Oto główniejsze rzeczy, na które powinieneś zwrócić uwagę w sprawozdaniach:

Zasadzki. Jakiego rodzaju są? Śród skał, czy krzewów, czy murów? i t. p. W jakiej odległości od nieprzyjaciół? i t. p.

Miejsce na biwak. Czy woda jest blisko? Jakie jest jego położenie? W jaki sposób możnaby się w nim bronić i opuścić go?

Mosty. Z jakiego są materyału? Jaka ich długość, szerokość i wysokość nad wodą? Czy posiadają parapety? Jakie są wybrzeża? Gdzie możnaby znaleść materyały do naprawy?

Budynki. Jaka jest ich długość i wysokość? Z jakiego materyału są wzniesione? Na jakim gruncie stoją? Czy są otoczone drzewami, lub parkanami? i t. d.

Zarośla. Jak są gęste? Jak daleko się rozciągają? Z jakich krzewów się składają?

Miejsce na obóz. Jaka jest przestrzeń wolnego gruntu? Czy jest płaski, czy falisty? Jaki rodzaj gruntu? Czy jest woda blisko? Jaka jest okolica?

Kraj. Czy jest uprawny, czy leży odłogiem? Płaski czy górzysty? Otwarty czy zamknięty lasami lub górami? Gęsto zaludniony, czy pusty?

Wąwóz. Jaka jest jego długość i szerokość? Czy kamienisty, czy błotnisty? Na jaką okolicę wychodzi? Czy nadaje się do zasadzki? Z której strony można być napadniętym podczas przemarszu?

Nieprzyjaciel. Jaka jest jego siła? Jak jest daleko? W jakim idzie kierunku? Z jakich pułków się składa? Co czyni?

Przeprawa. Ile jest promów i łodzi? W jakim stanie? Czy łatwy jest dostęp?

Brody. Jaka jest ich głębokość, szerokość i długość? Jaki rodzaj dna? Czy idą prosto, czy wężykowato? Jakie są wybrzeża?

Lasy. Jaka ich jest rozległość i gęstość? Z jakich drzew się składają? Jakie drogi i ścieżki prowadzą przez nie?

Forty. Jakie ich jest położenie, siła i wielkość? Jak są obronne? Jakie mają wały, szańce i rowy? Jak liczną załogę? W jaki sposób możnaby zbliżyć się do nich?

Wzgórza. Jaka jest ich wysokość, spadzistość i powierzchnia? Czy są skaliste, czy obnażone, zarośnięte lasem lub trawą? Czy można wjechać na nie konno? Jaki z nich widok? i t. d.

Jeziora i stawy. Jaka jest ich długość, szerokość i głębokość? Jakie wybrzeża? Czy są łodzie?

Bagna. Jaka jest ich rozległość? Czy możliwa przez nie przeprawa? Czy istnieją ścieżki lub brody?

Stanowiska nieprzyjaciela. Gdzie on stoi: we wsi, w lesie, śród wzgórz, nad wodą? i t. p. Czy zajmuje okoliczne wyżyny? Jaki jest rodzaj gruntu, na którym stoi? Z której strony najłatwiej można uderzyć na niego?

Koleje żelazne. Jaka jest szerokość toru? Ile jest torów? Jakie są podkłady: z drzewa czy z żelaza? Jaki nasyp? Czy są mosty, tunele, linia telegraficzna? i t. p.

Rzeki. Jaka jest szerokość ich i głębokość? Jaka szybkość prądu? Jakie wybrzeża? Jaki dostęp? Czy są mosty, łodzie, albo materyał do zbudowania tratew?

Drogi. Czy to jest żwirówka, czy zwyczajny gościniec? Jaki jej stan i szerokość? Jaka różnica z poziomem okolicy? Czy jest ogrodzona płotem, lub wysadzana drzewami?

Stacya kolejowa. Ile jest platform, lokomotyw, zbiorników wody? Jaki zapas węgla? Ile budynków i jakie?

Zapasy żywności i paszy. Ile jest zapasów i jakie? Jaki rodzaj paszy dla koni?

Telegraf. Ile jest drutów? Jaka wysokość słupów? Z czego są zrobione? W jakim kierunku idą druty?

Miasto. Jaka jest jego rozległość, położenie, zabudowanie i liczba mieszkańców? Jakie można w niem znaleść zapasy żywności dla ludzi i paszy dla koni?

archiwum harcerskie.pl

Środki przewozowe. Ilość wozów, koni, mułów, wołów i t. p.

Woda. Czy zdatna do picia? Stojąca czy bieżąca? Jeżeli studzienna, jaka jest głębokość studni i jej ocembrowanie? Jaki dostęp do niej? Czy konie można napoić wprost, czy też trzeba czerpać wodę kubełkami?

Ćwiczenia w czasie pokoju.

Musisz dobrze wbić sobie w głowę te wskazówki, żebyś przy zdawaniu raportów nie opuścił jakiego ważnego szczegółu i wiedział odrazu, na co głównie powinieneś zwracać uwagę. Miej je zapisane w notatniku na wypadek, gdyby pamięć ci nie dopisała.

Podczas pokoju, wprawiaj się na wycieczkach w pisanie sprawozdań, a potem przyjdzie ci to bardzo łatwo.

Jeżeli jesteś blisko naczelnego wodza, zdaj raport ustnie dla oszczędzenia czasu. Staraj się mówić jasno i treściwie. Śledząc nieprzyjaciela, nie zaniedbaj zwracać uwagi na położenie własnego wojska, żebyś w każdej chwili mógł trafić z powrotem do głównej kwatery.

Generał Baden Powell.

archiwum harcerskie.pl

Przygody myśliwskie w bagnach i zatokach Hondurasu.

Wybrzeże zatoki meksykańskiej od Iriony do Puerto Burchard w północnym Hondurasie, już z powodu trudnego dostępu należy do okolic najmniej znanych i uczęszczanych. Nasza gromadka złożona z czterech myśliwych, musiała suto opłacić kapitana parowca amerykańskiego, żeby się zgodził wysadzić nas w Puerto Burchard w pobliżu ujścia rzeki Tocomacho, która dzięki otaczającym ją puszczom dziewiczym i licznym dopływom, jest krainą obiecaną dla „nemrodów". Wszechwładnie panują tu aligatory, nie ścigane przez nikogo; żyją swobodnie pantery i jaguary, w lagunach zaś roi się od ptactwa błotnego wszelkiego rodzaju i wszelkiej barwy.

Przy ujściu leży karaibska wioseczka, licząca najwyżej 60 dusz, otoczona plantacyami bananów i palm kokosowych, a bezpośrednio za nią czernieje puszcza, królestwo wyjców, papug, pumy i tapira.

Przeniósłszy nasze manatki na wielką, 30 stóp długą łódź karaibską, w jednym pniu olbrzymiego drzewa wydrążoną, wpłynęliśmy na rzekę Tocomacho. Natychmiast otoczyła nas puszcza, zewsząd powiewają pierzaste palmy, mangrowy o poskręcanych korzeniach, drzewa kakaowe z owocami, wyrastającemi prosto z pnia, paprocie, liany i mnóstwo drzew i roślin zupełnie nam nieznanych. Niekiedy rzeka się rozszerzała i widać było liczne wysepki; to znów koryto tak się zwężało, że płynęliśmy pod konarami drzew. Chmury wodnego ptactwa zrywały się z krzykiem, szukając bezpiecznego schronienia przed człowiekiem, rzadko tu widywanym.

Nasi karaibscy wioślarze gadali z sobą tymczasem w najdziwniejszym języku, jaki dotychczas słyszałem, wszyscy jednak potrafili rozmówić się po angielsku i po hiszpańsku.

Po dwugodzinnej żegludze wysiedliśmy na brzeg, gdzie znajdowało się schronisko, w którem mieliśmy się osiedlić: nędzny szałas z liści, zamieszkany przez osy, mrówki i inne owady. Trzeba było wypłoszyć nieproszonych gości i przenieść tam wszystkie nasze pakunki. Rozpalono ognisko, przy którem gotowała się woda na herbatę, znalazł się stół o trzech nogach i przy nim zasiedliśmy na składanych krzesłach do skromnej wieczerzy, składającej się z bananów, marmelady, sucharków i herbaty *mate*, która ma

zabezpieczać od febry. Istotnie, żaden z nas podczas pobytu śród bagien nie chorował na febrę.

Naraz z liściastego dachu zaczęły się sypać do filiżanek jakieś szare okruchy; winowajcami okazały się owady. Posunęliśmy stół i ze względu na zapadający mrok, zapaliliśmy lampę. Natychmiast rozległo się brzęczenie i dzwonienie, które trwało do rana. Były to moskity, od których broniliśmy się przez całą noc. Miałem ręce tak pokąsane, że musiałem okładać je mokrą ziemią, aby zmniejszyć swędzenie.

Może dym odpędzi nieznośnych natrętów, opuszczamy więc szałas, rozniecamy wielkie ognisko i zapalamy cygara. Niestety! i to nie pomaga. Postanawiamy więc położyć się na naszych leżakach, zabezpieczonych siatką od moskitów.

Wkrótce zasnęliśmy, ale koło północy obudził nas chrzęst gałęzi i odgłos krcków: gromada tapirów przebiegała koło obozu. Następnej nocy mój przyjaciel, nagle zbudzony, zobaczył tuż przy siatce łeb jakiegoś zwierzęcia i bez namysłu uderzył go pięścią. Była to zapewne puma, albo jaguar, który chciał przyjrzeć się zblizka nieznanym przybyszom. Z czasem można jednak się przyzwyczaić do sypiania w otwartym szałasie.

Pluskanie się w wodzie aligatorów, mruczenie panter, ryk jaguara nie sprawiały na nas wrażenia. Gorsze od nich są owady; widziałem u Karaibów chodzących boso, palce ze szczętem poobgryzane przez rozmaite ich gatunki. Mrówki także stanowią nieznośną plagę: jednej nocy zniszczyły nam zbiór wypchanych ptaków, pomimo, że były posmarowane mydłem arszenikowem.

Podczas wycieczek w puszczy dały nam się we znaki pokrzywy, parzące jak ogień, krzaki cierniowe i liście małych palm, ostre jak miecze. Każde ich ukłucie wywołuje nieznośne, godzinami trwające palenie. Po dłuższym pobycie w okolicach nadrzecznych zwykle dostaje się febry, byliśmy też suto zaopatrzeni w chininę.

Drugiego dnia zobaczyłem w gaju bananowym dwie pumy. Byłem bezbronny i zapaliwszy cygaro, rzuciłem zapałkę w krzaki. Błyskawicznie wyskoczyły z nich dwie pumy i natychmiast znikły w zaroślach.

Przechadzając się raz nad rzeką, odległą o 500 metrów od naszego legowiska, zobaczyłem wyciśnięte w mule tropy jaguara. Może to był ten sam, który w nocy odwiedził mojego towarzysza? Mieliśmy na niego wielką ochotę, ale zwierzę było tak ostrożne i przebiegłe, że nie dało się podejść. Gęste zarośla zapewniały mu wyborną kryjówkę.

Polowałem czasami na aligatory, a towarzyszył mi w tych wycieczkach Amerykanin, oddawna tu osiedlony. Wyjeżdżaliśmy na rzekę czółnem, mogącem pomieścić dwie osoby: przy sterze siedział Amerykanin, w drugim końcu ja z dubeltówką. Wyruszaliśmy o drugiej, podczas duszącego upału; wkrótce nie miałem na sobie suchej nitki, chociaż siedziałem spokojnie. Pot strumieniami ściekał mi po twarzy. O tej porze szkaradne jaszczury drzemią zwykle na ławach piaszczystych, albo na gnijących pniach drzewnych. Mój sternik wskazał mi coś oczyma, ale

w tem zerwała się biała czapla z ostrzegającym krzykiem i o 20 metrów odemnie aligator plusnął w wodę!

Bardzo trudno jest niewprawnemu oku odróżnić aligatora od otoczenia. Czapla wciąż krążyła nad nami, krzycząc żałośnie, jak gdyby była opłacona przez jaszczury; w obawie, że zepsuje nam polowanie, mój towarzysz strzelił do niej, żeby uciszyć ją nazawsze. Spadła w wodę, ale zanim dopłynęliśmy do niej, znikła w paszczy aligatora. który w ten sposób wywdzięczył się jej za ocalenie mu życia.

Umyślnie zatrzymaliśmy się pół godziny pod cienistym *gumlimbo*, żeby uśpić czujność aligatorów i znów popłynęliśmy z biegiem rzeki. Po kwandransie Amerykanin dał mi znak i tym razem dostrzegłem w niewielkiej odległości wyciągniętego na wielkim konarze aligatora. Zmierzyłem ostrożnie i wnet huknęły dwa strzały: aligator leżał na mieliźnie, rzucając się w przedśmiertnych konwulsyach. Miał ze dwa metry długości. Obydwie moje kule go trafiły: jedna w gardziel, druga w oko. Linami i hakami wyciągnęliśmy go na brzeg.

Słońce tak nam dokuczyło, że postanowiliśmy wypocząć trochę. Krótko jednak trwały chwile wytchnienia: sępy zleciały się i zaczęły szarpać jego zwłoki, a widok ten w połączeniu ze straszną wonią był tak wstrętny, że odpłynęliśmy pośpiesznie. Nazajutrz rano nie było śladu aligatora na wybrzeżu: inne jaszczury musiały pożreć jego szczątki.

Różne są zdania o ich drapieżności. Widziałem Karaibów, kąpiących się w rzece, gdzie roiło się od aligatorów; objaśniono mię, że w dzień nie są szkodliwe, tylko w nocy. Pewnego dnia porwały dziewczynę, która wieczorem poszła po wodę do rzeki. Zabiłem ich z pół tuzina, ale w końcu znudziło mię to polowanie.

Zabijaliśmy tapiry dla wybornego ich mięsa, przypominającego w smaku tłustą wołowinę. Wyprawy te jednak w niziny nadrzeczne groziły zdrowiu, a przytem moskity tak dokuczały, że odechciało nam się polowania.

Długo nie mogliśmy wytropić jaguara, choć często jeszcze na błotnistej ziemi widywaliśmy jego ślady. W końcu jeden Karaib ofiarował się wskazać mi legowisko tego drapieżnika. Wypłynęliśmy wieczorem i przywiązawszy prosię do drzewa, ukryliśmy się pod liściastem sklepieniem drzew. Dla zabezpieczenia się od moskitów, wysmarowałem wszystkie odkryte części ciała maścią, zalecaną przez Karaibów; istotnie to poskutkowało. Jaguar nie zjawił się jednak, słychać było tylko nad ranem ponure krzyki wyjców. Kiedy zaświtał poranek i chmary papug zaczęły z wrzaskiem krążyć nad naszemi głowami, zabraliśmy się do odwrotu. Byłem zły, zmęczony i niewyspany, a tu trzeba było chwilami brodzić w błotnistej wodzie, żeby przeciągać czółno śród splątanych roślin.

Wypłynęliśmy w końcu na głębszą wodę. W tem na zakręcie, może o 12 kroków od nas, ujrzeliśmy przyczajonego na gałęzi jaguara. Gotował się właśnie do skoku, kiedy posłaliśmy mu dwie kule. Spadł tuż przed czółnem, którego omało

archiwum harcerskie.pl

nie wywrócił. Było to wspaniałe zwierzę i z tryumfem przynieśliśmy je do obozu. Kazałem Karaibom obedrzeć go ze skóry, którą zabrałem na pamiątkę.

Cały wieczór zszedł nam na opowiadaniach o przygodach myśliwskich. Celował w nich Amerykanin; dowiedzieliśmy się od niego ciekawych szczegółów o nocnym tygrysie *caraguar*, który odznacza się gęstą czarną sierścią, jest postrachem krajowców i daje radę nawet potężnemu niedźwiedziowi. Dopiero deszcz zmusił nas do ukrycia się pod szałasem, gdzie wkrótce sen nas zmorzył.

Przekład z niemieckiego Z. S.

Jak odnaleść drogę podług słońca, księżyca i gwiazd,

przez generała-majora W. Droysona.

Jest to okropna rzecz zbłądzić, nie wiedzieć, gdzie się znajdujemy wśród zbliżającej się nocy. Nawet w najbardziej zaludnionych krajach jest łatwo zgubić się. W Anglii kilka lat temu szkoła dziewcząt udała się pieszo do New-Forest. Wieczorem dwie dziewczynki odłączyły się od gromady i oddaliwszy się od koleżanek, zgubiły drogę. Spędziły one noc całą pod gołem niebem i następnego dnia zostały odszukane przez wysłaną partyę, wyczerpane i wystraszone. W dzikim kraju, gdzie pełno drapieżnego zwierza wypadek taki zakończyłby się zapewne śmiercią.

Niedawno temu przyjaciel mój towarzyszył partyi, udającej się do Klondyke. Oddalił się od niej pewnego poranku i odtąd nikt go już nie widział. Ci, którzy postępowali jego śladami, znaleźli, że po przejściu kilku mil zaczął on kręcić się i krążyć bez kierunku; znaleźli oni miejsce, gdzie spędził noc i z którego wyruszył w niewłaściwym kierunku; dalej jednak na skalistym gruncie zgubiono całkowicie ślad i zaniechano dalszych poszukiwań. Obecnie jest on oficyalnie uznany za zmarłego. W bezdrożnych lasach łatwiej jest się zgubić niż na otwartej równinie, gdzie daleki widok roztacza się dokoła. Nocą należy być ogromnie ostrożnym, aby nie zbłądzić, zwłaszcza, gdy panuje gęsta mgła.

Jest pewne, że jedną z najważniejszych przyczyn zbłąkania jest zwykle ślepa wiara w niemożliwość tegoż. Wierzyć w to, daje właśnie możliwość, że się zgubimy. Dlatego też należy powziąć wszelką ostrożność, aby uniknąć tej katastrofy.

W ciągu trzech lat, najmniej dwa dni w tygodniu spędzałem w gąszczach Afrykańskich lasów, a nigdy nie zbłądziłem. Zdarzało się, że mgły gęste otaczały mię wśród zgmatwanych podzwrotnikowych roślin, a zawsze odnalazłem drogę powrotną do domu. W niezmierzonych, sosnowych puszczach Kanady tułałem się dzień cały, noc mię zaskoczyła, a jednak zdołałem odnaleść drogę do obozowiska i zdążyłem na wieczerzę. A nic w tem niema dziwnego, ani trudnego, jest to tylko rezultat używania zwykłych spostrzeżeń. W dniach mojej młodości podróżowałem bez zegarka i kompasu i jestto zdumiewające, jak mało potrzeba ćwiczenia, ażeby módz określić godzinę z pewną dokładno-

archiwum harcerskie.pl

ścią. Kompas jest pożytecznym bezwątpienia i w późniejsze lata nosiłem przy sobie nietylko kompas, ale także jedną lub dwie igły namagnesowane uprzednio za pomocą zwykłej podkowy magnetycznej. Jedna z tych igieł wbita w kawałeczek drzewa i pływająca z nim po wodzie służy za prymitywny kompas, wskazujący północ i południe. Na każdej niemal podkowie magnesu jedno ramię jest oznaczone. Część igły spoczywająca na niem będzie wskazywała południe, podczas gdy odwrotna oczywiście północ. W czasie gęstej mgły kompas jest bardzo

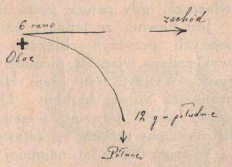

Fig. 1

użyteczny, ale trzeba uprzednio obserwować w jakim wyszliśmy kierunku. Każdy, co w czasie jasnego dnia lub nocy nawet zgubi się, jest w mojem pojęciu niedołęgą.

Podam obecnie kilka prawideł, podług których możemy określić kierunek, w którym idziemy. Prawidła te stosują się do północnej półkuli. O godz. 6 rano słońce jest bardzo blisko wschodu, o godz. 9-ej rano słońce jest bardzo blisko południowo-wschodu, o 12-tej (w południe) blisko południa, o 3-ciej po połud. jest prawie na południowo-zachodzie, o 6-stej wieczorem wreszcie jest blisko kierunku zachodniego.

Przypuśćmy tedy, że o 6-stej rano ruszamy w drogę i chcemy się udać na południe. Powinniśmy się ustawić tak, aby słońce było z lewej strony. Przed nami prosto będzie strona południowa. Jeżeli jednak wyruszamy o 9-ej rano i chcemy udać się na południe, musimy tak stanąć, aby słońce było w połowie między naszem lewem ramienim, a frontem. Przed nami więc będzie znowu południe. Przypuśćmy znowu, że o tejże godzinie t. j. o 9-ej rano, chcemy się udać na południowy-zachód. Staniemy w ten sposób, aby słońce było prosto w

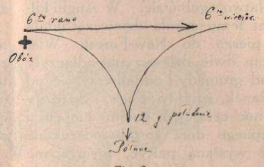

Fig. 2.

kierunku lewego naszego ramienia. Przed nami zaś będzie kierunek w jakim się chcemy posuwać.

Rozbijmy nasze obozowisko na bezbrzeżnej równinie w miejscu, gdzie ani wzgórza ani inne oznaki nie są widoczne. Gdy słońce wstanie o godz. 6-ej rano, będziemy wiedzieli gdzie jest wschód, a stąd południe, zachód i północ. Postanówmy udać się w długi objazd, lub pieszą wyprawę na tej równinie tak, abyśmy powrócili o zachodzie do obozu. Rozpocznijmy w kierunku zachodnim, słońce więc będziemy mieli poza sobą, a cień będzie wskazywał zachód. Jeżeli będziemy wciąż po-

suwali się w kierunku naszego cienia tak, aby słońce było wciąż za nami, o południu będziemy w północnej stronie (fig. 1-sza), ponieważ słońce toczy się ze wschodu na południe, około 15 stopni na godzinę. Jeżeli więc od 6-ej rano do 12-ej będziemy szli wciąż w kierunku cienia, nie będzie to linia prosta lecz kolista.

Jeżeli więc osoba nie oryentująca się będzie posuwała się w kierunku cienia od 6-ej rano do 12-ej, będzie prawdopodobnie wyobrażała sobie, że odwrotnie jeśli będzie wracać mając wciąż słońce przed sobą z tąż szybkością o 6-ej wieczorem powróci do obozu. Nie jednego znam człowieka, który zbłądził tak rozumując. Fig. 2-ga wyjaśnia, dokąd on zawędruje tak idąc.

Kiedy wyjeżdżamy na zwiady z obozu z zamiarem powrotu przed zachodem słońca, o wiele bardziej zajmująco powrócić zupełnie inną drogą od tej, którą wyruszyliśmy. W tym celu powinniśmy uważnie obserwować kierunek, w którym ruszamy, pod względem jego stosunku do słońca.

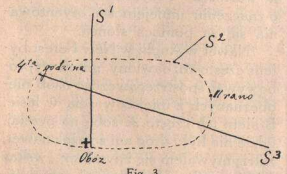

Fig. 3.

Przypuśćmy naprzykład, że chcemy wyruszyć z obozu i odbyć całodzienną podróż drogą oznaczoną linią kropkowaną na fig. 3-iej.

O 8-mej rano, gdy udajemy się w drogę, słońce znajduje się w miejscu S^1 po naszej lewej stronie. Jeżeli zataczamy koło, to o 11-ej będziemy posuwać się ku słońcu; skręcimy następnie na lewo, a w południe słońce będziemy mieli niemal zupełnie z tyłu poza nami w miejscu S^2. Idąc dalej, o godzinie 4 po połud. słońce będzie w miejscu S^3. Stopniowo będziemy zataczali koło w tym kierunku i wkrótce dojrzymy nasz obóz.

Jakieś dwadzieścia siedem lat temu udałem się w Nowym Brunszwicku na wycieczkę rybacką do jeziora między górami Shickshock. Moimi towarzyszami byli trzej Anglicy i trzej Francuzi z Kanady. Podróżując w górę rzeki Matone, około czterdziestu mil w kierunku południowo-wschodnim, wydostaliśmy się z naszego kanionu na południowy brzeg i ruszyliśmy do jeziora. Kanadyjczycy wskazali kierunek, w którym miało być jezioro, a ja wywnioskowałem, że jest ono na południe od nas.

Łącznie z kołdrami, prowizyą, bronią, wędkami i t. d. każdy z nas musiał dźwigać ciężar 30 funtów, a na początku naszej podróży musieliśmy się przedzierać przez bardzo przykre góry około 2000 stóp wysokości. Było już znacznie po południu, gdyśmy się wydostali na sam szczyt, a musieliśmy się jeszcze przedzierać przez bezdrożny las pięć mil, zanim mogliśmy dostać się do leśnej chaty na brzegu jeziora. Szliśmy dwie godziny, aż doszliśmy do uroczego źródła ze świeżą wodą. W miejscu tem postanowiliśmy popasać dla spożycia obiadu. W czasie naszej drogi mieliśmy słońce nie-

archiwum harcerskie.pl

kiedy, jak zauważyłem, po prawej, niekiedy po lewej stronie, czasem przed nami, a czasem za nami. Zacząłem mocno podejrzewać przewodników, że błądzą. Po obiedzie objuczyliśmy się ładunkami i rozpoczęliśmy podróż ponownie. Zauważyłem znowu, że czasem oddalaliśmy się, czasem zbliżaliśmy się do słońca. Zrobiłem tedy uwagę jednemu z towarzyszy, że jestem zupełnie pewien, że przewodnik stracił drogę. Wkrótce przed zachodem słońca, kiedym był już porządnie zmęczony, przyszliśmy do zupełnie podobnego źródła, przy którym kilka godzin przedtem spożyliśmy obiad. Nasi przewodnicy dopiero wówczas przyznali się, że zbłądzili. Spędziłem okropną noc na gołej ziemi, całe chmary głodnych moskitów kąsały mię, setki much torturowały i byłem we wściekłym humorze, rozmyślając o całkowitem niedołęstwie i głupocie przewodników.

Dopiero w południe dnia następnego zdołaliśmy dotrzeć do owej chaty z belek nad jeziorem, a byłem pewien, że szliśmy conajmniej trzy razy dłuższą drogą, niż było konieczne.

Po dwudniowym pobycie na wybrzeżu jeziora wyruszyliśmy w odwrotną drogę i wówczas mogłem zemścić się na przewodnikach.

Wiedziałem już, że by dostać się do naszego kanionu, powinniśmy się udać na północ. Wyruszyliśmy o 9-ej rano, gdy słońce było oczywiście na południowym - wschodzie. Przewodnicy skręcili prosto ku słońcu. Powiedziałem im, że idą źle, ale oni upewniali mię, że idą dobrze. Po godzinie pochodu miałem mocne postanowienie, że już nie spędzę drugiej nocy w tymże lesie, więc nakazałem zatrzymać się i wytłumaczyłem moim przyjaciołom w jaki sposób wiem, że posuwamy się w złym kierunku. Przewodnicy śmieli się ze mnie, lecz ja odparłem, że pójdę sam do kanionu i zostawiłem ich, wracając do jeziora. Moi przyjaciele, mając zaufanie do mnie, poszli za mną, a ja skręciłem pod prostym kątem od naszej poprzedniej drogi, przewodnicy niechętnie musieli iść za nami. W niespełna dwie godziny doszliśmy do brzegu wzgórza, z którego już było widać rzekę Matone, a wkrótce potem doszliśmy do jej brzegu o jakieś 200 łokci zaledwie od miejsca, gdzieśmy uprzednio opuścili kanion.

Wówczas zapytałem przewodników, co mają teraz do powiedzenia. Ze zwykłą zarozumiałością, oznaczającą ignorancyę, odrzekli na to: „gdybyśmy byli szli w tym kierunku, w którym prowadzilibyśmy, doszlibyśmy do kanionu w tymże czasie". Ale żem poszedł niemal w przeciwnym kierunku niż nas prowadzili, odpowiedź ta nie miała zgoła wartości. Przykład ten dowodzi o znaczeniu umiejętności oryentowania się za pomocą słońca.

Nawet w Anglii w New Forest byłem często rozbawiony, gdym wypróbowywał spostrzegawczość osób nieobeznanych z miejscowością w lesie. Brałem ich często ze sobą na przełaj, gdzie nie było dróg ani ścieżek nawet, zatrzymywałem się i pytałem: „wskaż mi kierunek do Lyndhurst" i po chwilowem zastanowieniu wskazywali mi bardzo często wręcz przeciwną stronę.

W towarzystwie dwu Indyan Miemac odbyłem wiele wycieczek w sosnowych lasach w Nova Scotia

przy tropieniu bawołów i niedźwiedzi. Kiedym powiedział tym Indyanom, że w czasie mojej młodości uczyłem się coś nie coś znajdywania drogi, nic mi na to nie odrzekli, ale znacząco spojrzeli na siebie. Po dwu godzinach włóczęgi, w czasie której kręciliśmy się w różnych kierunkach, jeden z Indyan zapytał mię: „Gdzie jest obóz?" Wskazałem kierunek. Indyanin kiwnął głową i rzekł: „Dobrze". Po godzinie zapytano mię o to znowu i znowu wskazałem kierunek. „Dobrze — była odpowiedź — masz oko Indyanina i nie zbłądzisz." W tym wypadku nie byłem w stanie sądzić wedle słońca, ale po pewnym czasie każdy, zdaje się, jest w możności instynktem poznawać kierunek, w którym dana okolica znajduje się.

Z chwilą gdy słońce zajdzie, jesteśmy pozbawieni jego pomocy, nie odrazu jednak, możemy bowiem w ciągu jakiejś pół godziny oznaczyć miejsce jego zachodu po łunie. Mówiąc o północnej półkuli i to między 45° a 55 stopniem szerokości geograficznej, słońca zachodzi w grudniu na południowym-zachodzie, w połowie marca na zachodzie, a w połowie czerwca na północo-zachodzie.

Natychmiast jak tylko słońce zajdzie, a wszystkie światła na zachodzie zbledną, gwiazdy pojawiają się na niebie i na północnej półkuli gwiazda polarna, lub tak zwana gwiazda północna, wskaże nam zawsze północ; skoro zaś wiemy gdzie północ, tem samem znamy południe, wschód i zachód. Jeśli się obrócimy twarzą do gwiazdy polarnej, będziemy mieli wschód po prawej stronie, południe z tyłu, zachód zaś po naszej lewej stronie. Z chwilą gdy dziecko jest już dość dojrzałe do poznania liter i złożenia w jeną sylabę, z tąż chwilą jest ono w stanie odnaleść na niebie gwiazdę polarną i wskazać północ, wschód, południe i zachód.

Ta prosta i łatwa umiejętność, może stać się przyczyną ratunku w późniejsze lata. Powinniśmy się zaznajomić z Wielką Niedźwiedzicą w celu odnalezienia polarnej gwiazdy, dwie bowiem gwiazdy tej konstelacyi wskazują zawsze na nią. Zajęłoby to za dużo miejsca, gdybyśmy chcieli opisywać rozmaite znaczniejsze gwiazdy pod względem ich pozycyi w różnych porach roku i o różnym czasie, ale każde dziecko nawet powinno umieć odnaleść gwiazdę polarną.

Często byłem zdziwiony całkowitem nieuctwem nawet dorosłych osób pod względem znajomości tych podstawowych faktów, o których mówiliśmy powyżej. Gdzie jest słońce o 9-ej rano, a gdzie o 3-ciej po południu, oto kwestye zagadkowe dla osób nie zastanawiających się.

Na zapytanie: „Gdzie jest słońce w południe?" odpowiedź zwykle brzmieć będzie: „Prosto nad głową." Słońce nigdy w Anglii (ani w Polsce) nie bywa prosto nad głową. W połowie zimy jest ono zaledwie 16 stopni ponad horyzontem w południe, podczas gdy w połowie lata wznosi się około 62 stopni ponad horyzont w tejże godzinie.

Jeżeli niebo nie jest dość pogodne, abyśmy mogli widzieć gwiazdy, lub gdy nawet i księżyc nie jest widoczny, możemy się posługiwać kompasem. Księżyc dostarcza następujących obserwacyi, które są przewodnikami naszymi.

archiwum harcerskie.pl

Gdy księżyc jest w pełni, a obrócimy się przodem do niego, słońce będzie z tyłu nas, ale pod horyzontem. Przypuśćmy, że obrócimy się do księżyca o 9-tej wieczorem. Słońce wówczas będzie za nami, a z chwilą gdy się obrócimy zobaczymy cień nasz w świetle księżyca, wskazujący kierunek północno-zachodni. W innym znowu wypadku niech będzie pełnia o północy. Księżyc wówczas będzie znajdował się na południu. Dla innych kwadr następujące prawidła są użyteczne. Przypuśćmy, że tarcza księżyca jest podzieloną na 180 części, które nazwijmy stopniami. A więc od X do Y będzie 180 stopni (fig. 4).

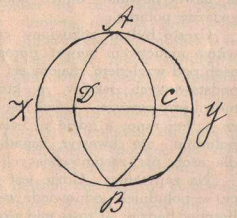

Fig. 4.

Przypuśćmy, że księżyc jest w nowiu i jest on oświetlony tylko w części leżącej między liniami A Y B a A C B. Będzie to jedna czwarta tarczy, a więc 180 podzielone przez cztery da nam 45, czyli 45 stopni. Stąd kierunek słońca będzie o 45° odchylony od kierunku księżyca, a więc gdy patrzymy na księżyc, słońce będzie się znajdowało w połowie drogi między naszym frontem, a prawem ramieniem. Jeśli znajdziemy wedle naszego zegarka, że jest to 9 godzina wieczorem, słońce będzie wskazywało północny zachód, a stąd będziemy znali kierunki świata. Jeżeli pół księżyca jest oświetlone, to jest 90 stopni, to kierunek słońca będzie odchylony o 90 stopni od kierunku księżyca. Kiedy księżyc jest w pełni, słońce jest wręcz po przeciwnej stronie, a podług naszego zegarka możemy określić strony świata ponieważ słońce, jakkolwiek pod horyzontem będzie na północnym zachodzie o 9-tej wieczorem, na północy o 12-tej, a na północnym wschodzie o 3-ciej rano.

Jeżeli słońce, księżyc lub gwiazdy są widoczne, człowiek nigdy nie powinien kręcić się w koło i w koło, jak to zwykle nieświadomi czynią, gdy zbłądzą.

Na południowej półkuli w takich okolicach, jak Australia lub Południowej Afryce są następujące różnice co do pozycyi słońca:

O godz. 6-tej rano słońce jest na wschodzie, o godz. 9-tej rano na północnym wschodzie, o 12-stej na północy, o 3-ciej po południu na północnym zachodzie, a o 6-stej wieczorem na zachodzie.

W wypadku, gdy się zgubimy, byłoby nonsensem rzucać się w byle jakim kierunku, który może być złym. Powinno się zatrzymać na miejscu i zastanowić się nad zagadnieniem, a jeśli się jest zaskoczonym przez noc, najlepiej spocząć i czekać wschodu słońca, a za tą wskazówką można odnaleść drogę do obozu.

(Byłoby pożądane aby skauci ćwiczyli się podług wskazówek generała Droysona w rozpoznawaniu kierunków świata. Radzimy również zastosować inne ćwiczenia. Oto w noc pogodną i księżycową wyjrzyjmy z domu. Gwiazda Polarna wskaże nam strony świata. Znając je na podstawie wykładu gen. Droysona powinniśmy z księżyca określić godzinę w czasie której czynimy obserwacyę. *Przypisek tłom.).*

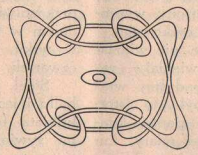

Prosimy odnowić prenumeratę na rok 1914.

archiwum harcerskie.pl

Mały akrobata.

(Z ANGIELSKIEGO).

— Zabierajmy się ztąd; mam już dosyć tego—rzekł Ronald Steel i z temi słowy wziął mię pod ramię i bez oporu z mej strony wyprowadził mię z namiotu cyrkowego.

— Nigdym jeszcze nie widział tak lichego przedstawienia! — zawołał z oburzeniem kiedyśmy wracali do szkoły. A było to istotnie marne widowisko—popisy konne były bardzo średniej miary, kuce nie przedstawiały nic osobliwego, a najbardziej ze wszystkiego byli godni politowania klowni w swoich wysiłkach dla wywołania śmiechu tanimi dowcipami, jeszcze lichszymi, niż w każdym innym cyrku.

— A ten smarkacz „mały akrobata", czy jak tam go nazywają! Zdaje mi się, że uważają go za cudo świata, a tymczasem przedstawia się najgorzej ze wszystkiego. Blamuje się do reszty i nie ma najmniejszego pojęcia o ćwiczeniach na trapezie; jestem przekonany, że sam potrafię wykonać je o wiele lepiej od niego—mówił Ronald.

A byliśmy właśnie w cyrku, którego długi pretensyonalny tytuł—Hippodrom Antoniusza Thompsonio. Międzynarodowy Popis — zupełnie nie licował z jego pięciorzędną wartością. Było tradycyą naszej, szkoły, ustalonem prawem, że gdy kiedykolwiek cyrk jaki zawita do naszego ospałego miasteczka, wolno było chłopcom udać się na jedno z przedstawień, a w tym wypadku dniem w którym szkoła miała być w cyrku, był oznaczony następny czwartek.

Steel, jakkolwiek kiepski w footballu i jeszcze gorszy przy grze w krikieta, był jednak zupełnie w swoim żywiole z chwilą, gdy znalazł się na trapezie. Trapez był jego ambicyą i specyalnością, do której doszedł długą i usilną pracą. To też gdy tylko zobaczył anons Thompsonia donoszący wielkiemi literami o popisie „Małego akrobaty" na trapezie, był tem tak zainteresowany, tak niecierpliwy zobaczenia, co akrobata potrafi wykonać, że postarał się, aby udzielono nam pozwolenia wcześniej zobaczenia cyrku, niż całej szkole, a było to tem łatwiejsze, że będąc najstarszymi chłopcami, cieszyliśmy się większą wolnością i większymi przywilejami, niż inni. Poszliśmy, wynudziliśmy się i opuściliśmy cyrk bez najmniejszego życzenia oglądania popisu po raz wtóry.

Lubiłem Ronalda Steel—co prawda, tośmy wszyscy lubili go bardzo. Nie był to zresztą zwykły typ chłopca. Jego metodą było najpierw zrobić, a potem dopiero zastanowić się; posiadał on najlepszą naturę, ale odznaczał się brakiem rozwagi w tymże czasie. Nie zbywało mu nigdy na pieniądzach, jego ojciec był jego bankiem, a pocztówka służyła mu za czek i żadne zwrócenie się do ojca nie dostało odmownej odpowiedzi. Jednak, godne uwagi, chłopak dobrego serca, ale w najwyższym stopniu nierozważny, był nieskazitelnej prawości. Mogło by się wydawać, że ta słabość ojcowska mogła mieć zły skutek, ale nie była ona w tym wypadku nigdy nadużytą i najmniejszy cień nie padł na mego przyjaciela.

A teraz chciałbym opowiedzieć o jednym z najśmielszych postępków Steela.

Następnego czwartku, około południa, Steel i ja wracaliśmy w kierunku naszego miasteczka ze spaceru, a zdarzyło się, żeśmy właśnie przechodzili przez pole, na którem rozpięty był namiot cyrkowy. Kiedyśmy mijali go, zobaczyliśmy naraz wyrostka, który stał, gorzko płacząc. Przedstawiał on smutny, godny litości obraz, jaki tylko może przedstawiać chłopiec w najcięższej okoliczności.

— O co chodzi?—zapytał Steel swoim serdecznym otwartym tonem.

Chłopiec spojrzał na nas niepewnie i podejrzliwie, ale przyjacielski ton w jakim zadane było pytanie, widocznie uspokoił go, żeśmy bynajmniej nie mieli jakichkolwiek złych zamiarów, zbliżając się do niego.

— Ona umiera, a on nie pozwala mi iść do domu i widzieć się z nią—zawołał ze łkaniem i naraz łzy popłynęły znowu z jego oczu.

— Kto to ona—pytał Steal.

— Moja matka — brzmiała odpowiedź.

— A któż to... jakto, Smith, nie widzisz kto jest ten chłopak — zawołał, przerwawszy pytanie i zwróciwszy się do mnie z wyrazem zdziwienia na twarzy — wszak to jest „mały akrobata"; — a następnie zawołał do chłopca — masz na myśli swego chlebodawcę?

— Tak, ten pies, jeżelibym był starszym, zabiłbym go! Mniejsza o o to, że mię wciąż szturga na wszystkie boki, jużem przywykł do tego, ale przecież mógłby mi pozwolić pójść i zobaczyć ją.—I nie było w tem wstydu, że łkanie zatamowało mu gardło i nie mógł mówić dalej.

— Czemuż tedy nie idziesz? Kpij sobie z niego. Ja bym na twojem miejscu tak zrobił, łajdak!

— Nie mogę... nie mam pieniędzy, ona jest w Londynie... a przy tem on by mię zabił po powrocie, wpakował do worka i już bym nigdy w życiu nie mógł jej widzieć—i mówiąc to patrzał smutno oczami pełnemi łez w dal przed siebie. Była to istotnie smutna, wzruszająca do głębi postać.

Steel czas jakiś stał milcząc i myśląc, w jaki sposób mógłby mu pomódz.

A sprawa przedstawiała się w ten sposób w danej chwili, że „mały akrobata" albo musiał powrócić do cyrku, który narazie był źródłem jego utrzymania, albo przymierać z głodu na ulicach Londynu, gdyż jak sam powiedział, niemiał tam przyjaciół, którzy mogliby się nim zaopiekować i dopomódz w trudnem położeniu. Żadna więc z tych dróg nie była zachęcająca i Steel pojął to odrazu, ale wedle

archiwum harcerskie.pl

zwykłego mu przysłowia, które stale głosił, że „pater wszystko zrobi", szybko ułożył plan i przedstawił propozycyę „małemu akrobacie".

— Oto masz tu funta szterlinga, powinno ci to wystarczyć w zupełności na podróż do Londynu, a nawet więcej. Gdy zaś będziesz potrzebował zarobku, udaj się do mego ojca w Surrey, który da ci robotę przy dworze, albo między końmi w stajni. Cóż sądzisz o tem?

Na chwilę akrobata oniemiał. Mając ciągle do czynienia z brutalnem otoczeniem, wyrobił w sobie podejrzliwość do ludzi, to też i tym razem zachował się z nieufnością. Czyżby ten uczniak robił sobie z niego żarty. Spojrzał na złotą monetę, co lśniła na jego dłoni, tak, nie ulegało wątpliwości, była ona prawdziwą! Pomyślał o koniach— o jakże on lubił te zwierzęta; podniósł wreszcie oczy na Steela.

Nie, on nie mógł kpić z niego. A widząc, że propozycya była szczerą i prawdziwą, nie mógł wyrazić radości, która naraz go ogarnęła. Myśl, że wkrótce ujrzy chorą matkę i że oto ma sposobność uwolnić się raz na zawsze z więzów okrutnego chlebodawcy, zdawała mu się zbyt nagłą, aby była możliwą. A kiedy starał się wynaleść wyrazy, któremi mógłby wypowiedzieć niezmierną wdzięczność, Steel złapał go za ramię i zawołał:

— Dalej więc! zdaje mi się, że wkrótce masz pociąg.

I pospieszyliśmy w stronę dworca.

W drodze do kolei akrobata opowiadał nam smutną historyę złego, rzec można, brutalnego obchodzenia się, jakiego doświadczał, a Steel słuchając tego opowiadania, nie mógł powstrzymać się od wyrażenia swego oburzenia przekleństwami na właściciela cyrku.

Nie potrzebowaliśmy długo czekać na pociąg i do ostatniej chwili byliśmy obecni przy odjeździe akrobaty, a Steel dawał mu wciąż szczegółowe instrukcye w jaki sposób może się dostać do majątku jego ojca w Surrey.

— Uważasz, Smith—mówił Steel w czasie naszego powrotu do szkoły — będzie to dobrym uczynkiem uwolnić tego chłopaka z niewoli cyrkowej.

— Tak, ale co o tem twój pater powie? — zapytałem go z pewnem powątpiewaniem.

— Nie znasz mojego ojca—odparł z ufnością w głosie—da się z łatwością znaleść miejsce dla akrobaty w stajni, a tatuś uczyni wszystko, o co go tylko poproszę, a zwłaszcza w tego rodzaju sprawie. Ale na Jowisza! Ten cyrkowy tyran powinien dostać swą zapłatę!

— Powinno się go dobrze kopnąć — rzekłem — byłoby nieźle naprzykład wydobyć to na światło dzienne, ogłosić go w gazetach lub coś w tym rodzaju.

Ale oprócz kilku złorzeczeń pod adresem brutalnego Antoniusza, Steeel nie przemówił ani słowa w naszej powrotnej drodze do szkoły. Gdyśmy już byli przy wjazdowej bramie, uderzył mię naraz po ramieniu i cmoknął.

— To będzie znakomite — zawołał śmiejąc się.

— Będzie istotnie? — zapytałem — nieco dotkliwie dałeś mi uczuć swe zadowolenie. Nie mogę jednak powiedzieć, abym podzielał

twe zdanie—mówiłem to wszystko z ironią.

— Słuchajno, Smith, wynalazłem pierwszorzędny sposób dania dobrej nauczki Antoniuszowi.

— Wykazałeś to na mem ramieniu, wiem o tem. Mów jednak, rozwiń swe plany przedemną!

— Słuchaj—mówił Steel i zwinął w tragiczny sposób język—zdaje się, że stary Antoniusz wystawił Małego Akrobatę jako najlepszą stawkę i zwaryuje chyba z wściekłości, gdy się dowie, że chłopaka musi wykreślić z programu. A tłum będzie wściekły także. A więc jeżeli pokażę temu łajdakowi kilka ćwiczeń na trapezie, których Akrobata nie umie, zaangażuje mię z miejsca na jego stanowisko. Idę tedy ofiarować moją służbę staremu Antoniuszowi. Całe powodzenie mojego planu zależy jedynie od tego czy Antoniusz przyjmie moją ofertę, czy odmówi.—Następnie Steel opisał sposób jaki obmyślił na pokaz cyrkowy.—Wszyscy chłopcy będą tam dzisiejszego wieczoru, powiedz im aby zachowywali się spokojnie i czekali na dobrą hecę.

Projekt, jaki usłyszałem od Steela, był jednym z tych warcholskich jego planów, z których cieszył się duszą całą. Starałem się więc przedstawić mu możliwość opłakanych skutów i zniechęcić go do powziętego przedsięwzięcia.

— Nie kłopocz się, już ja dam sobie radę—była jego odpowiedź.

Tegoż popołudnia Steel ucharakteryzował się jak mógł najlepiej, ażeby wzbudzić zaufanie jako istotnie młodzieniec poszukujący uczciwego zarobku i udał się na audyencyę do Antoniusza. Znalazł on właściciela cyrku czerwonego jak indyka ze złości z dzikim wyrazem twarzy, przeklinającego na czem świat stoi ludzi, którzy podwinęli mu się pod rękę i chodzącego z końca do końca cyrkowej karawany.

Steel mówił mi potem, że gdy wspomniał o Akrobacie, Antoniusz z furyi nie był w stanie wykrztusić nawet słowa, zachowanie jego zmieniło się jednak, gdy spostrzegł możliwość w propozycyi Steela wypełnienia brakującego miejsca w programie, a Ronalda ćwiczenia tak go ucieszyły, tak mu się podobały, że go natychmiast i z największą chęcią zaangażował.

O wpół do ósmej cyrk napełnił się tłumem widzów. Popisy klownów otwarły przedstawienie, które szło jak zwykle bez zmian, a dopiero gdy nadeszła kolej na „Małego Akrobatę" którego popis pompatycznie został ogłoszony przez Antoniusza, co grał rolę ryngmajstra czyli reżysera, zaciekawienie i przejęcie poruszyło tłumem, który dotąd zachowywał się dosyć obojętnie. Oczekiwaliśmy więc niecierpliwie tej chwili.

Z głosem kornetu, hukiem trombonu i francuskiego rogu, a wreszcie z grzmotem bębna, które stanowiły orkiestrę, Steel udający „Małego Akrobatę" wbiegł na arenę i ukłonił się widzom w najbardziej cyrkowy sposób. Był on ubrany w trykoty Akrobaty, a że był małym na swoje lata, więc ubranie pasowało na niego znakomicie; to też byłoby trudno poznać tłumowi, że nie on był „Małym Akrobatą". Złapał za linę i został wciągnięty do góry, a usadowiwszy się na trapezie zaczął

archiwum harcerskie.pl

przecierać dłonie chusteczką gotując się do popisu.

Oczekiwaliśmy jednak daremnie na jego znakomity popis, o którym wiedzieliśmy, że był w stanie wykonać. Powiesił się na nogach i bujał tam i z powrotem. Wstał, usiadł i dokonał parę najprostszych ćwiczeń, ale nic poza tem. Widzowie zaczęli świstać, a on tylko śmiał się na to do nich. Twarz reżysera stawała się coraz bardziej zaindyczoną i czerwoną, wystąpił on na środek areny, patrząc w górę na Steela.

— Co robisz, durniu jeden? Czego nie zaczynasz?—mówił szepcząc ochryple. Steel jednak wciąż śmiał się, bujał na trapezie.

— Złaź mi natychmiast, słyszysz! — Antoniusz wrzeszczał swój rozkaz, a widzowie zaczęli świstać jeszcze donośniej i wyć.

Steel zgrabnym ruchem posłał pocałunek do wściekającego się w dole Antoniusza. A potem stanął na trapezie i uciszał tłum, dawszy do zrozumienia, że chce mówić. Nasi koledzy zaczęli psykać, aby Steel mógł być wysłuchany, a tłum którego zainteresowanie wzmogło się pod wpływem dziwnego obrotu rzeczy, stopniowo uspakajał się i uciszał tak, że Steel był wstanie wkrótce przemówić. Tymczasem Antoniusz wił się na dole w bezsilnej wściekłości, nie będąc wstanie w żaden sposób dosięgnąć Steela i nie rozumiejąc, co wszystko to miałoby znaczyć.

— Panie i panowie — odezwał się Steel, który mimo małego wzrostu odznaczał się silnym głosem, który rozległ się donośnie we wszystkich zakątkach namiotu. — Myślicie, że jestem „Małym Akrobatą" nieprawdaż? Tymczasem niczem podobnem nie jestem.

Tu tłum zamanifestował zdziwienie.

— Chcecie wiedzieć gdzie jest „Mały Akrobata"? — mówił dalej— jest on w Londynie, poszedł tam zobaczyć swą konającą matkę.

Słysząc to Antoniusz osłupiał, a potem uniósł się jeszcze bardziej pod wpływem zalewającej go wściekłości.

— Złaź natychmiast!—ryczał— złaź albo... albo dostaniesz batogiem!

— Słyszeliście, co on powiedział?— pytał Steel—wygraża się, że wybatoży mię. Panie i panowie!— Steel był tak wyszukany w swojej przemowie, żem mocno go podejrzewał o ćwiczenie się poprzednie, aby wywołać pożądane wrażenie.— Panie i panowie! mogę was zapewnić, że właściciel tej budy zna się doskonale na batożeniu. Tydzień temu „Mały Akrobata" miał tę najwyższą bezczelność, że prosił tego tam człowieka o uwolnienie go do domu w celu odwiedzenia chorej matki, a odpowiedzią na jego prośbę był koński bizun. Był on gotów wszystko zaryzykować, aby mógł się tylko udać do matki, ale że nie miał pieniędzy, obawiał się wyrzucenia, a więc nie mógł opuścić cyrku bez pozwolenia. Następnego tedy dnia znowu prosił tego tam na dole, co kieruje tu błaznami, a który dał mu odpowiedź batem.

Nie widziałem dotąd człowieka w tak niemej i bezsilnej wściekłości w jakiej znajdował się miotający na piaszczystej arenie, zalany krwią Antoniusz. Miotając się na dole, jeszcze raz chciał sprobować sciągnąć jakimbądź sposobem lub dosięgnąć batem Steela. Tłum jednak zaczął krzyczeć na niego, a jednocześnie zachęcał Steela do dalszej przemowy.

— Dalej, dalej, chłopcze!—wołano ze wszystkich stron.

— Dziś rano jednak, sprawy tak się ułożyły, że „Mały Akrobata" miał możność o 12.45 odjechać do Londynu. Panie i panowie! on już nie ma zamiaru powrócić tu więcej!

Tu rozległy się oklaski wśród tłumu.

— Uważam Antoniusza za brutalnego łajdaka—wołał Steel w swej zapalczywości — i sądzę, że mieszkańcy naszego miasta powinni być poinformowani o tem.

Tłum oklaskiwał Steela, a równocześnie psykania i świsty rozległy się w kierunku Antoniusza i te ostatnie zmieniły się wkrótce w ogólną demonstracyę przeciwko właścicielowi cyrku, dla którego sprawa przedstawiała się krytycznie tak, że obawiając się o własną skórę, wycofał się z areny jaknajprędzej.

Steel jednak nie skończył. Jeszcze raz wzniósł rękę, aby tłum się uciszył.

— Przyrzekłem Antoniuszowi, że będę zastępował „Małego Akrobatę" dzisiejszego wieczoru i naturalnie dotrzymam mego przyrzeczenia. I wobec tego, że zapłaciliście za całkowite przedstawienie, za waszym pozwoleniem Panie i panowie, wypełnię ten numer programu, starając się zastąpić „Małego Akrobatę" w miarę sił moich

I szybkim ruchem zaczął zwinnie wykonywać w ciągu jakichś dziesięciu minut ćwiczenia, popisując się zręcznością i siłą, umiejętnością zachowania równowagi i chyżością. Jego harmonijne lekkie ruchy zajęły całą uwagę widzów, a na zakończenie publiczność dała mu liczne i potężne brawo.

Ześliznąwszy się po linie, połączył się z nami i ubrawszy się prędko w palto, które trzymaliśmy gotowe, pospieszył z cyrku zanim widzowie zdołali opuścić swe miejsca. Godnem było uwagi, że żaden z członków cyrku nie stanął w obronie swego chlebodawcy.

Ucieszony Steel wołał do nas:

— Wypłaciłem temu Antoniuszowi—i rozmyślał z zadowoleniem o zemście za biednego, krzywdzonego akrobatę. Półgodzinna konferencya z dyrektorem szkoły na temat nierozważnego i lekkomyślnego postępowania, oraz surowy i upominający list ojca na tenże temat, nieco zmartwiły go.

— Być może, to było lekkomyślne — mówił zmartwiony — ale łajdak zasłużył na to i rad jestem, żem to zrobił. Nauczyłem go jak ma postępować na przyszłość.

Ale, jakkolwiek ojciec Steela był rozgniewany, to jednak nie odmówił opieki biednemu akrobacie, gdy tenże w tydzień po tem zgłosił się do jego stajni. A moge jeszcze dodać, że od tego czasu Antoniusz Thompson nigdy już więcej nie zawitał ze swym cyrkiem do naszego miasteczka.

archiwum harcerskie.pl

Rozmaitości.

Łapka dla roweru. Zwykle stawiamy rower gdy jest w spoczynku oparty o ścianę. Najczęściej miejscem przeznaczonem na to jest przedpokój. Zdarza się jednak, że przechodzące osoby przez nieuwagę potrącają rower, który zaczepiony spa-

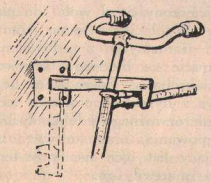

da z wielkim hałasem na ziemię ze szkodą dla niego i podłogi. Ażeby uniknąć tego, radzimy następujący sposób. Należy wziąć dwa kawałki drzewa, kwadratową deseczkę i klocek, na końcu którego robimy piłką dwa zęby. Zęby te powinny być na takiej odległości, ażeby uchwyciły skutecznie górną rurę ramy roweru. Klocek ten i deseczkę łączymy zawiasą, a następnie przybijamy do ściany. Ma to tę dobrą stronę, że gdy rower nie stoi na swem miejscu, łapka jest spuszczona i nikomu nie zawadza. Polecamy przy tem na łapkę użyć drzewa ciężkiego jak np. dąb, ze względu na to, że tem lepiej opiera się o ramę roweru i tem pewniej przytrzymuje go.

*

Jak trzymać węgorza. Ci, co łowili węgorze, doskonale wiedzą, jak trudno utrzymać je w ręku. Ich śliskie, wężowate ciało kurczy się, wypręża, a wreszcie wyślizguje się nam z rąk. Silne uderzenie w ogon odrętwia węgorza na pewien czas. Najlepiej jednak trzymać go w ten sposób, jak widzimy na załączonym

rysunku. Ciało węgorza przechodzi między wielkim a wskazującym palcem, następnie między wskazującym a średnim, który jest skurczony, a wreszcie między nim, a serdecznym i małym. Jeżeli w ten sposób ścisniemy mocno węgorza, nie wyśliźnie się nam z ręki.

*

Rozwój kotwicy. Ciekawą jest rzeczą jak wynalazki ludzkie stopniowo są upraszczane. Zdaje się, że pierwsze pomysły zawsze są bardzo skomplikowane, potem jednak

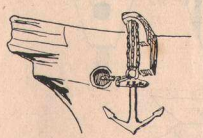

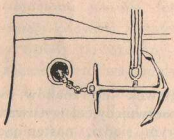

stopniowo stają się coraz prostsze. Doskonałym przykładem tego jest rozwój kotwicy w ostatnich czasach. Na fig. 1 widzimy dawny sposób umocowania jej na przodzie okrętu. Widzimy, że wisiała ona na wystającym ramieniu, z którego liny za pomocą bloka przytrzymywały kotwicę, której łańcuch przechodził przez otwór w okręcie. Inny łańcuch połączony blokiem do lin zabezpieczał kotwicę od bujania, przytrzymując ją z boku. Jak widzimy więc, był to sposób bardzo skomplikowany. Jakoż został udoskonalony następnie i na rys. 2 kotwica wisi na bloku i linach, łańcuch jak i uprzednio przesunięty przez otwór. Był to więc znaczny postęp, ale dopiero w okrętach dzisiejszych widzimy sposób umocowania kotwicy, prawdopodobnie najprostszy. Jakoż z rys. 3 widzieć można, że kotwica została wciągnięta do tegoż otworu co i łańcuch. Takie proste i tak praktyczne! A jednak dlaczego tak dużo upłynęło czasu, zanim to zastosowano? Ciekawy jestem, czy wielu skautów odpowie na to pytanie przez uważne przyjrzenie się rysunkom. Na ich podstawie można dać odpowiedź dlaczego przymocowanie kotwicy na rys. 1 i 2 było niemożliwe takież jak na rys. 3.

*

Przy ćwiczeniach strzeleckich. Wiele jest sposobów dawania haseł od celu do strzelców o rezultacie ich strzałów. Podajemy tu dwie metody, jedna metoda kwadratów, druga chorągiewek. Cel jest zwykle podzielony na trzy pola. Kółko wewnętrzne czyli cel, pas zewnętrzny, czyli środek, zewnętrzny pas czyli koło, a wreszcie brzegi kartonu lub deski na której namalowano cel. Metoda kwadratów stosowana w Bisley polega na tem, że w pewnej odległości od celu umie-

archiwum harcerskie.pl

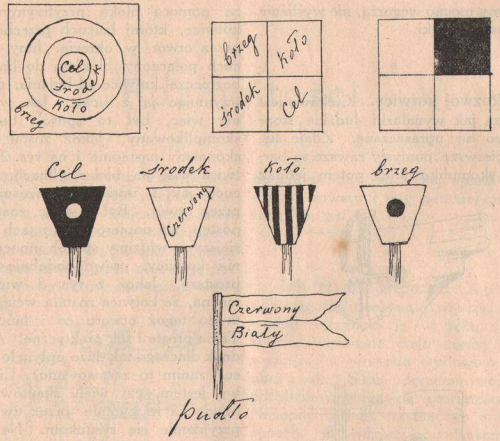

szczoną jest wielka rama z drutu o czterech otworach. Lewy górny otwór oznacza „brzeg“, prawy górny „koło“, lewy dolny „środek“, prawy dolny „cel“. Stosownie do tego gdzie ugodzi kula, obserwujący wartownik, ukryty zwykle za okopem, wsuwa czarną blachę w kwadraty. A jak np. na rysunku naszym blacha oznacza, że kula trafiła w koło. Jeżeli kula przemknie się koło celu i zupełnie weń nie ugodzi, wartownik nie wystawia blachy zupełnie, co oznacza pudło.

Przy drugim sposobie, metodzie chorągiewek lub znaków, wartownik obserwujący cel wysuwa z rowu, w którym siedzi, następujące znaki. Jeżeli kula trafi do celu, wystawia on trójkąt czarny z białym punktem we środku, jeżeli trafi w pas wewnętrzny wystawia trójkąt czerwony, jeżeli zewnętrzny—trójkąt o paskach czarnych i białych naprzemian, jeżeli na brzeg — trójkąt biały z czarnym punktem w środku. W razie pudła powiewa chorągiewką czerwono-białą. Zamiast trójkątów używane są także same chorągiewki oznaczone w tenże sposób.

Echa zlotu w Birmingham.

Na osobiste życzenie Naczelnego Skauta generała Baden-Powella a z prawdziwą naszą radością i wdzięcznością dla Wielkiego założyciela ruchu Skautowego, ogłaszamy list jego, napisany do A. Małkowskiego, a przeznaczony dla całej młodzieży skautowej polskiej.

„BOY SCOUTS
116, Victoria Street,
LONDON S. W.
17 grudnia 1913 r.

Kochany Panie Małkowski!

Zapewne miło będzie Panu dowiedzieć się, że piękna rama ze wszystkiemi napiętemi na nią fotografiami znajduje się obecnie w głównym pokoju naszej Głównej Kwatery. Piękna oprawa z drzewa i pomysłowa rzeźba wywołały powszechny podziw, a wszyscy, którzy ją oglądają, są bardzo zaciekawieni wspaniałym zbiorem fotografii. Mogę Pana zapewnić, że nie tylko ja sam, lecz wszyscy związani z Ruchem Skautowym w Wielkiej Brytanii, bardzo wysoko ocenili ten dar Polskich Skautów.

Mam nadzieję, że będzie Pan łaskaw jeszcze raz wyrazić im serdeczne podziękowania za ich uprzejmy podarunek oraz oświadczyć, że uważam go za najprzyjemniejszą pamiątkę od naszych braci Skautów w Polsce.

Z najlepszemi życzeniami powodzenia w całej Pańskiej pracy pozostaję życzliwy

Robert Baden-Powell."

Dla objaśnienia dodajemy, że rama owa zawierała fotografie polskich drużyn skautowych i została przesłana generałowi Baden-Powell'owi przez polskich skautów z racyi zlotu w Birmingham. Rama została wykonaną w stylu zakopiańskim, z napisem: „Skauci Polski—Skautowi Naczelnemu swoich angielskich Braci.“

archiwum harcerskie.pl

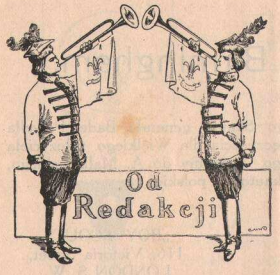

W następnym numerze rozpoczynamy seryę naszych konkursów, zaczynając od łatwiejszych i posuwając się do coraz trudniejszych. Warunki konkursu będą oznaczone przy podaniu pierwszych reprodukcyi, w numerze 4-tym (15 lutego).

Odpowiedzi Redakcyi.

Jurek. Serdecznie dziękujemy za przyjazne i doskonałe rady. Znaczną część ich mieliśmy już na uwadze i rozpoczęliśmy nawet zbieranie odpowiednich materyałów, tak, iż mamy nadzieję, że wiele pragnień pańskich wejdzie w życie.

Szczególnie godnym podniesienia jest projekt pański co do prac krajoznawczych młodzieży, myśl tę postaramy się jak najprędzej urzeczywistnić. Od kilku miesięcy już ją opracowujemy i nawet ogólnikowo pisaliśmy o tem w „Skaucie" w roku ubiegłym przy ocenie książki dr. Majkowskiego „Zdroje Raduni". Zamierzamy nawet uskutecznić to na szerszą skalę, ale na to musimy zebrać obszerniejszy materyał i gruntowniej opracować sam plan rozwinięcia go. Zanim jednak przyjdzie do tego opracowania na szerszą skalę i rozwijania obrazu kraju naszego, Ojczyzny naszej jak szeroką jest i długą, wdzięczni jesteśmy za trafnie podaną myśl krótszej i łatwiejszej rzeczy, a dającej się szybko uskutecznić, a mianowicie dawania rodzaju skróconych konspektowych przewodników krajoznawczych opracowanych przez samą młodzież dla współkolegów.

Systematyczne rozwijanie tych przewodników, podług myśli pańskiej (np. guberniami), natrafia na pewne trudności, przynajmniej o ile się chce szybko to w czyn wprowadzić, nie wszędzie bowiem znaleść można dość chętnych lub umiejętnych i czas na ich wyszukiwaniu będzie schodził. Wobec tego zarówno ze względu na rzecz samą jak dla przykładu i zachęty, prosimy o początek. Prosimy więc o wymienienie najważniejszych i najgodniejszych uwagi miejsc i zabytków, z krótkiemi objaśnieniami historycznemi i własnemi uwagami, tyczącemi się znaczenia i doniosłości dla nas tych miejsc i pamiątek tak, żeby każdy młodzieniec-skaut jak w raporcie krótko i jasno otrzymał potrzebne mu wiadomości. Byłaby to rzecz nadzwyczaj interesująca i pożyteczna. Z Warszawy i jej okolic podobne opisy niedługo się ukażą.

Co do wycieczek, na zdanie Pana zgadzamy się najzupełniej i nie jest ono wcale przesadne, to też

usilnie staramy się o zbieranie materyału w tym kierunku; umieszczanie opisów takich wycieczek już rozpoczęliśmy, a mamy nadzieje, że umieszczać je będziemy coraz częściej i w coraz większej ilości, i jak już pisaliśmy w poprzednim numerze, utworzymy z nich osobny dział. Prosimy o zasilanie tego działu.

Co do klisz to musimy zwrócić uwagę, że rysunki również wymagają klisz, choć jeżeli są odpowiednio szkicowane, to nie siatkowych, a kreskowych, to jest nie odtwarzających tych subtelnych półcieni, a dających reprodukcyę rysunków piórkowych.

Mamy nadzieję, że pismo nasze rozwijając się coraz więcej, będzie zadawalać Pana i pańskich kolegów. Co do pozostałych rad skorzystać z nich nieomieszkamy.

Serdeczne podziękowanie—i pozdrowienie.

archiwum harcerskie.pl

Cena ogłoszeń:

	Cała strona Rb.	k.
A. Na okładce:		
a) Strona odwrotna (ostatnia) . .	75	—
b) Strona wewnętrz. (przed tekst.)	50	—
c) Strona wewnętrzna (po tekście)	40	—
B. W książce:		
a) Przed tekstem	40	—
b) Po tekście	30	—

Administracya otwarta codziennie (z wyjątkiem niedziel i świąt) od godz. 9 rano do godz. 8 wieczorem.

Listów nieopłaconych lub niedostatecznie frankowanych nie przyjmuje się.

Rękopisów nadesłanych nie zwraca się.

Prenumerata wynosi:

W Warszawie:

Rocznie	Rb. 6.—
Półrocznie	„ 3.—
Kwartalnie	„ 1.50

Z przesyłką pocztową:

Rocznie	Rb. 7.—
Półrocznie	„ 3.50
Kwartalnie	„ 1.75

W Galicyi:

Rocznie	Kor. 16.—
Półrocznie	„ 8.—
Kwartalnie	„ 4.—

Cena pojedyńczego zeszytu: **w Warszawie kop. 30; z przesyłką pocztową kop. 35; w Galicyi kor. 0.80.**

Prenumeratę najlepiej przesyłać wprost do Administracyi „Skauta" w Warszawie: **Księgarnia J. Lisowskiej, Al. Jerozolimska 29, tel. 145-40.**

ADRES REDAKCYI:

Warszawa, **Księgarnia J. Lisowskiej, Al. Jerozolimskie 29, tel. 145-40.**

ADRES ADMINISTRACYI:

Warszawa, **Księgarnia J. Lisowskiej, Al. Jerozolimskie 29, tel. 145-40.**

Kraków, G. Gebethner i S-ka.

Adres Redaktora: **Ludomił Czerniewski. Wilcza 72, telefon 402-98.**

Spis rzeczy: Nowych ludzi plemię.—Wskazówki dla skautów, przez generała *Baden-Powella.*—Przygody myśliwskie w bagnach i zatokach Hondurasu, przekład z niemieckiego *Z. S.* — Jak odnaleść drogę podług słońca, księżyca i gwiazd, przez generała-majora *W. Droysona.* — Maly akrobata.—Rozmaitości.—Echa zlotu w Birmingham List gen. Baden-Powella. — Od Redakcyi — Odpowiedzi Redakcyi. — Kiddi, Dziecię Obozu, powieść skautowa przez R. Leightona (Ciąg dalszy).

Redaktor i Wydawca **Ludomił Czerniewski.**

Druk F. Wyszyńskiego i S-ki, Warszawa, Zgoda 5. Telefon 172-28.

archiwum harcerskie.pl

Kiddi, Dziecię Obozu.

Powieść skautowa R. Leightona, tłum. O. M.

(Ciąg dalszy).

— Skalp Rubego Kartera—szepnął przerażony i schwycił karabin, chcąc wypalić.

Lecz wódz Indyan zniknął tymczasem, a sześciu innych pojawiło się opodal. Jeden za drugim przesuwali się w półmroku, stąpając jak koty. Każdy był uzbrojony w strzelbę, tomahawek i nóż do skalpowania i, jak ich wódz, wszyscy byli do pasa nadzy.

Abe Harum poruszył się niecierpliwie. Byłby chętnie rozpoczął ogień, gdyby go rozkaz komendanta nie wstrzymał. Lecz przezorność Gedeona była słuszna, bo ledwie Abe opuścił karabin, znów nowa postać Indyanina wynurzyła się z rowu, a dalej czterech zamajaczyło między drzewami na drodze prowadzącej w kierunku zabudowań.

Czerwonoskórzy skradali się cicho i ostrożnie ku werandzie, prowadzeni przez wodza, którego łatwo można było rozpoznać po bojowym szyszaku z białych orlich piór. Wódz zatrzymał się przy schodach, czekając na swych wojowników. Potem ostrożnie minął werandę i zbliżył się do otwartego okna, węsząc nęcący zapach „wody ognistej". Widocznie zadowolony, że zaskoczy niespodzianie mieszkańców, pogrążonych w głębokim śnie, otworzył drzwi i wśliznął się do izby. Wszyscy Sjuksowie poszli kolejno za jego śladem, będąc pewni, że niosą śmierć białym i ciesząc się naprzód nadzieją bogatych zdobyczy.

Na tę właśnie chwilę czekał komendant Birkensow. Indyanie dostali się do pułapki, którą na nich nastawił; którąkolwiek stroną chcieliby uciec, wszędzie musieli spotkać się z gradem celnych kul.

Gedeon Birkensow zostawił swój Winczester w rowie i wziąwszy dwa rewolwery zaczął się wspinać po pochyłości. Abe Harum, podobnie uzbrojony, szedł przy jego boku, Kiddi postępował za nimi. Zanim doszli do werandy przyłączyli się do nich Chet Timson i Nat Bikbi, a Lju Denwer i Tom Lippinkott zbliżali się biegiem od strony korralu, nie troszcząc się już wcale o przytłumienie odgłosu swych kroków. Wiedzieli, że walka będzie krótka i gorąca, bali się więc przybyć zapóźno.

Jeden z Indyan wypadł na werandę i podniósł strzelbę do strzału. W tej chwili komendant pociągnął za kurek i czerwonoskóry stoczył się ze schodów na dół. Dzikie okrzyki podniosły się w izbie i w

pierwszej chwili Indyanie chcieli ratować się ucieczką. Abe i Gedeon strzelali celnie i znowu dwu Indyan stoczyło się z werandy na zabitego towarzysza. Reszta skupiona w drzwiach, cofnęła się w głąb swej kryjówki i zaczęła teraz wet za wet wysyłać strzały ku białym. Narazie jednak strzały ich chybiały i tylko Abe wytrwale wysyłał kulę po kuli, skoro tylko jaka postać czerwonoskórego wynurzyła się z drzwi lub okna. Nagle huknął strzał z okna i Chet Timson zachwiał się i upadł na ziemię, ugodzony kulą w głowę. Gdy kłąb dymu się rozwiał, ujrzał Kiddi biały szyszak wodza Sjuksów, który w tej chwili znowu podnosił broń do oka. Kiddi skoczył ku werandzie i przesadził nizką poręcz, trzymając broń w pogotowiu. Jednym rzutem oka zauważył, że Lju Denwer zajął miejsce Cheta. Równocześnie zagrzmiało kilka strzałów i Lju padł zabity. Kiddi przypadł do okna, chcąc rozprawić się z tym, którego kule tyle ofiar zabierały, ale wódz cofnął się w głąb izby, a dwu z jego ludzi starało się wydostać przez okno. Jeden skoczył już na okno, lecz w tej chwili powaliła go celna kula Kiddiego; drugi poszedł za nim i jego ten sam los spotkał. Żaden już po tem nie próbował uciekać tą drogą.

Tymczasem Nat Biksbi stanął odważnie na schodach wprost drzwi i palił raz po raz w głąb izby, celując do zbitej gromady Indyan. Komendant i Abe stali za nim w straży tylnej, pilnując by mu się nikt nie wymknął. Tom Lippinkott przyczaił się przy tylnem oknie, które było zabite deskami i czekał, czy który z czerwonoskórych nie zechce tej drogi obrać do ucieczki.

W tem na chwilę umilkły strzały Nata, a Indyanie w mniemaniu, że Nat zużył już wszystkie naboje, wypadli gromadą z drzwi z podniesionymi tomahawkami i pałkami. Lecz Nat miał już świeżą broń od Denwera, którą powitał ogniście gromadę krzyczących Indyan. Pięciu Sjuksów natarło na niego; jeden z nich zaszedł go z tyłu i zadał mu potężny cios w głowę, lecz w tej samej chwili padł, trafiony celnym strzałem Abego. Tymczasem Gedeon ścigał innego, który wymknął się w stronę korralu. Tom Lippinkott pomknął także za zbiegiem, kryjącym się za drzewami. Widział, jak mu się migał między krzakami, i czekał tylko sposobności, by mu posłać kulę ze swego Winczestra. Trzy razy dawał ognia i zawsze napróżno. Indyanin wypadł na otwarte pole i gnał co sił ku wąwozowi, gdzie Sjuksowie zostawili swoje konie.

— Ścigaj, Tomie!—krzyczał komendant, ale Tom nie potrzebował zachęty. Na skraju zarośli zatrzymał się, wycelował raz jeszcze i strzelił. Widział, jak Indyanin zachwiał się, padł, po chwili znowu się zerwał, zaczął biedz chwiejnie, kulejąc, aż w końcu upadł znowu. Tom rzucił pusty karabin i, ściskając w garści rewolwer, gnał by się upewnić, czy Indyanin nie umknie mu znowu.

(D. c. n.).

Piąty rok wydawnictwa.

Przedpłata roczna:
w Warszawie 3 rb.
z przesyłką poczt.
4 ruble.

„PRĄD"
Miesięcznik poświęcony zagadnieniom wychowania narodowego oraz przygotowaniu do pracy społecznej.

Adres Redakcyi i Administracyi:
WARSZAWA,
Warecka 10.

wychodzi pod kierunkiem Tadeusza Błażejewicza.

„PRĄD" głosi hasła postępu we wszystkich zaniedbanych dziedzinach życia narodowego; sprawiedliwości w układzie stosunków społecznych i czystości w sprawowaniu obowiązków publicznych.

Zamieszcza artykuły wybitnych wychowawców i pracowników na polu społecznem ze szczególnem uwzględnieniem młodych sił publicystycznych.

Szeroko omawia żywotne sprawy narodowe,

Podkreśla znaczenie religii i etyki w działalności społecznej oraz doniosłości twórczych pozytywnych haseł.

Odzwierciadla myśli i dążenia młodego pokolenia.

Informuje o studyach, życiu i próbach pracy społecznej młodzieży, zwłaszcza akademickiej u nas i zagranicą.

„PRĄD" jest czasopismem katolickiem i postępowem.

„Biblioteka Prądu" zawiera nader cenne przyczynki do literatury etycznej i wychowawczej.

Nr. 1. *E. Wassmann* **„Trzy odczyty o ewolucyi"** . . . . . c. k. 40
Dziełko to zdobyło rozgłos w całym świecie naukowym.

Nr. 2. *Dr. F. W. Foerster* **„Studenci wobec katolicyzmu"** . . . . . c. k. 30
Oryginalne poglądy znakomitego psychologa na stosunek młodzieży do Kościoła.

Nr. 3. *Dr F. W. Foerster* **„Seksualna etyka i pedagogika"** . . . . . c. rb. 1
Wspaniała, jedyna w swoim rodzaju apologia moralności chrześcijańskiej.

Nr. 4. *Ks. dr. A. Szymański* **„Uświadomienie katolickie"** . . . . . c. k. 60
Obszerny, systematyczny przewodnik literatury katolickiej.

Nr. 5. *Dr. P. Keppler* **„Więcej radości"** . . . . . c. k. 40
Jedna z najpiękniejszych pobudek do życia i czynów. Dziełko to w Niemczech rozeszło się w 70,000 egz.

Nr. 6. *Ks. dr. K. Lutosławski* **„Skauting jako system wychowania moralnego"** . . c. k. 20
Jasne, głębokie ujęcie zasad harcerstwa.

archiwum harcerskie.pl

Hurtowy i Detaliczny Skład

Papieru, Materyałów piśmiennych i rysunkowych.

Ksiąg buchalteryjnych i papierów pakowych.

Stowarzyszenia Spółdzielczego

„Nasz Sklep"

WARSZAWA

Sienna 1 (róg Marszałkowskiej). Tel. 50-90.

„WIADOMOŚCI ILUSTROWANE"

Pismo tygodniowe, dostępne dla wszystkich.

Prenumerata w Wilnie i na prowincyi:

Rocznie . .	2	rb.	50	kop.
Półrocznie . .	1	„	25	„
Kwartalnie . .	—	„	65	„
Miesięcznie .	—	„	25	„

Cena pojedyńczego numeru 5 kop.

Redakcya i Administracya:

Wilno, Wileńska 23, Księgarnia Tanich Wydawnictw.

Prenumerujcie to pismo, obfite w ciekawą treść, a starannie redagowane przez **K. PRÓCHNIKA.**

archiwum harcerskie.pl